

Wielki Pisasz

Mówią na niego R.

Opowieści rozebrane

Ruda Śląska 2020

Człowiek z trumną

Pamiętam doskonale. Było to latem 2001, a może 2002 roku, kiedy to zdruzgotany wynikami kolejnego licealnego świadectwa i by uniknąć bliskiego kontaktu z ojcowym pasem, postanowiłem w tę pędy spakować plecak i tegoroczne, znaczy się – tamtoroczne, wakacje spędzić nad dumnym polskim morzem.

Wysiadłem na dworcu autobusowym w Szczecinie i ze zdumieniem odkryłem trzy rzeczy. Że Szczecin absolutnie nie leży nad morzem. Że po Odrze pływają kanonierki Kriegsmarine. Że, co może najdziwniejsze, miejscowy dworzec PKS oprócz tradycyjnej dla takich miejsc ludzkiej menażerii oferuje przyjezdnym również osobniki absolutnie wyjątkowe. Obok kierowników za 50 groszy oraz dresów podążających butaprenowym szlakiem można tu było spotkać choćby była walutową prostytutkę, której zawód Okrągły Stół uczynił znacznie mniej opłacalnym, a wiek i skala bezrobocia wśród pierwszych wkraczających w dorosłość roczników wyżu stanu wojennego dopełniły zniszczenia. Teraz wspólnie z byłym sekretarzem gminnym Partii wzywała do nawrócenia się i zejścia z drogi grzechu, koniecznie jednak w ramach jednego z kościołów, a nie na własną rękę. Pozbawieni kończyn i prawa do zasiłku marynarze próbowali opylić turystom figurki morsów wydrążonych w „prawdziwym polskim węglu”, choć przecież ja, w końcu wnuk, prawnuk i nawet syn górników od razu rozpoznawałem węgiel zagraniczny słabej jakości, bodaj australijski. Marian Jurczyk z plakatów zapewniał o swej niewinności i wróżył miastu, a przede wszystkim sobie, wielką przyszłość.

W galerii miejscowych niebieskich ptaków, wyrzutek społecznych i ofiar Leszka Balcerowicza wyróżniał się jednak on. Niewiele starszy ode mnie, napakowany, z resztkami czupryny, ciągnący za sobą pokaźnych rozmiarów trumnę. To pewnie z taszczenia tego niespotykanego ponad ziemią elementu wyposażenia urosły mu takie mięśnie – pomyślałem – i natychmiast zacząłem się zastanawiać, ile może ważyć takie pudło. Trumna wyglądała na dębową, była czarna i wytwornie polakierowana, ornamenty dodatkowo wzmocniono miedzianymi, sądząc po roztaczanym blasku, okuciami. Młodzieniec pokręcił się trochę po dworcu, wysepił jedną czy dwie fajki, z dresikami zrzucił się na woreczek kleju i mimo sprzeciwu współpasażerów wtaszczył sobie i swój niecodzienny bagaż do jednego z ikarusów.

Wiedziony wrodzoną mi ciekawością, wynikającą najpewniej z niezwykle żywego intelektu oraz umiłowania ludzi, rozpytałem o chłopaka na peronach. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy, jednak pełną historię opowiedziała mi dopiero pani sprzedająca zapiekanki z przyczepy kempingowej, tęga matrona o niepełnym uzębieniu. Notabene kolejny relikwiarz lat 80. na rzeczonym dworcu, „byle do emerytury dociągnąć”, szepnęła mi w zaufaniu, kiedy zamówiłem trzecią już zapiekankę, koniecznie z wielką ilością keczapu, {ani Alu.

Spostrzeżony przeze mnie młody mężczyzna, którego urody nie mam odwagi ani kompetencji w tym miejscu oceniać, ale przypominał z grubsza skacowanego Klausea Kinskiego chałturzącego we włoskich westernach, pochodził ze starożytnego

rodu o wielkich zasługach dla Szczecina. Przeminieli liczni władcy tegoż miasta, armie maszerowały jego ulicami cyklicznie, a ród R. godnie wypełniał swe przeznaczenie, każdorazowo przekazując fach pierworodnemu synowi w każdym pokoleniu. Pełnili funkcję tak niezbędną dla funkcjonowania Szczecina, ba, do funkcjonowanie każdego grodu uważającego się za miasto, że dziadka człowieka z trumną nie powołano do Wermachtu nawet wtedy, kiedy służyli w nim dawni powstańcy śląscy i Mongołowie, a już po wojnie i odbiciu Szczecina z rąk czeskich, został on poproszony o pozostanie na miejscu i dostał z miejsca najwyższą możliwą pensję.

Jeśli ktoś się nie domyślił jeszcze, dziadek młodziana był kanalarzem, a ród R., tak dokładnie to spolonizowany już ród R., pełnił swą cichą miejską funkcję i w następnym pokoleniu. O co chodzi z tą trumną, zapytają mnie co uważniejsi czytelnicy. W tym miejscu oddam pola i głos pani Ali, bo tak się składa, że dokładnie zanotowałem jej słowa:

No i jak Gomułkę zamienił Gierek, to stary Hans stwierdził, że najwyższa pora pójść na emeryturę i zaczął rychtować sobie trumnę. U stolarza Wokulskiego, a fachman był to nie lada, zamówił sobie najdroższy model i jeszcze go kazał cudami wiankami udekorować, tak by, jak mówił we „Mgle Titanica”, taka tu kiedyś mordownia pijacka była, o tam za rogiem, Bismarckowi dorównać, bo jak był mały to jeszcze oglądał zdjęcia z pogrzebu niemieckiego premiera. No i zaciągnął trumnę do domu, i od tej pory w niej spał, łóżko oddając najstarszemu synowi. Syn ten też kanalarz, a ożenił się z taką jedną spode mojej wsi, ja pod Stanisławowem rodzona i jak nasza Pogoń gra z Polonią bytomską nigdy nie wiem komu kibicować i kiedy go w 1995 pogonili na wcześniejszą emeryturę, to też sobie sprawił trumnę. Choć już nie tak elegancką, a zwyczajną.

– No ale przecież ten jest jeszcze młody, gdzież mu tam do emerytury – Zdołałem wtrącić pytanie, kiedy pani Ala podawała mi piątą zapiekankę, tym razem z sosem barbieciu.

Bo to wielka afera była, klótnia na całą dzielnicę. Młody prawnikiem zostać postanowił i nawet kupił w tym celu maturę, na co przodkowie – w komplecie absolwenci szkół realnych i zawodowych – czy to żywi czy umarli, poczuli włosy rwać z głowy, choć ich zbyt wielu nie mieli, szybko się tysiało w tej rodzinie, może od podziemnych wyziewów, i w trumnach się przewracali z boku na bok. Wykląć smarkacza chcieli, wydziedziczyć albo i w lochu na najniższym poziomie kanałów, przez nikogo już nie odwiedzanych, zamknąć, aż w końcu zgodzili się na kompromis. Póki się młody do Sądu Najwyższego nie dostanie, wszędzie za sobą ma taszczyć dziadkową trumnę.

– Znaczy się odkopaną?! – Naprawdę mnie to zszokowało, Polska w 2001 lub 2002 roku to pewnie i był dziki kraj, ale nie aż tak! Groby przestaliśmy, jeśli dobrze pamiętam, rozkopywać gdzieś koło 1995.

A gdzież by tam, stary ma się dobrze, wszystkich nas przeżyje. Mnie, Szymborską, a nawet pana, choć pan jeszcze dzieciuch. Większej mu się zachciało, bo go rwa kulszowa czasem rwie. To się zamienił z wnukiem. Średni R. też tylko łypie, by

synowi podebrać, w atlasie się lepiej sypia, ale młody się dzielnie broni i podobno, nigdy nie sypia. Ale to może dlatego, że kuje po nocach i na amfetaminie jedzie. Sejfy kuje i witryny sklepowe tłucze, by mieć na łapówki dla profesorów. – Zakończyła swą opowieść pani Ala wręczając mi jedenastą zapiekankę, a kropla amerykańskiego sosu spadła na szeroko rozwarty dział kulturalny „Gazety Wyborczej”. Któryś z ich pierwszorzędnych autorów, zdaje się wo, dobitnie opiewał najnowszą część „Władcy pierścieni” jako marksistowski manifest na miarę nowego wieku w tekście niesponsorowanym. Obok, choć już za wielkim chińskim murem dzielącym działy marketingu i dziennikarski, przżył się Legolas z łukiem.

Tak oto pamiętam tamte mroczne czasy. Nie chciałem dłużej tkwić w tym dziwnym mieście i pojechałem autostopem do Ustki, po drodze ... To jednak zupełnie inna historia, a której lepiej nie pisać, no i się jeszcze nie przedawniła. Liceum w końcu nie ukończyłem i wiodę żywot szczęśliwy oraz spokojny z rzadka jedynie przerywany wspomnieniem tej prawdziwej jedynej człowieczej zagadki w moim życiu.

Co też może porabiać dzisiaj główny bohater mej opowieści? Przekonałem się niedawno.

W mieście S.

Przyczepił się, w mieście S. to było, jeden taki dziadyga. Nie był zbyt stary w sumie, może z pięć lata bardziej wiekowy ode mnie, ale gęba przepijaczona, pokiereszowana, głowa niechlujnie ogolona maszynką, ubranie staroświeckie – ale nie takie specjalnie staroświeckie, co to się płaci tysiące w baksach za spodnie, tylko po prostu stare, prane wielokroć, choć ostatni raz najpewniej jeszcze przed zimą – i reklamówka z Biedronki wskazywałyby bezdomnego albo nawet eks więźnia.

– Czy Pan Jezus dziś byłby fajnopolakiem? – zwrócił się w te słowy, a mnie owionął zapach przemożny jakby niestrawionego śledzia i brak wszystkich tylnych zębów unaoczniał się całkowicie. Maniak religijny - pomyślałem – na dodatek, mój ci to pech i by się biedaka jak najszybciej pozbyć dwuzłotówkę mu wciskam, a ten – no mówiłem, że dziad – kasę wrzuca do kieszeni, nie dziękując, dalej filozofuje:

– Jeśli hardcore to tylko ze Wschodniego Wybrzeża, dla białasów, bo ci z Zachodniego to jacyś Latynosi i czarnuchy, a nie biała klasa robotnicza, z Bostonu i Masacziusets.

Tylko okiem łypię, gdzie by tu dać nogę, a może po prostu w mordę dać i uciekać, ale wrodzony pacyfizm powstrzymuje mnie, i jeszcze humanitaryzm oraz europejska kultura, ten za łapę łapie i już mamy wchodzić do kamieniarza, nagrobki oglądać, kiedy słyszę:

– Rapierek! Zostaw pana!!! – Elegancki staruszek już mnie przeprosza i odciąga namolnego delikwenta, i też trochę śmieszny jest w swym cylindrze i czarnym płaszczu aksamitem podbitym, ale widać dżentelmen i zegnamy się grzecznie, a dwie postaci podążają ku portu. I wszyscy starego uniżenie witają, Panie Ptyschu, Pan się na spacer wybrał o tej porze? Proszę pozdrowić resztę rodziny, a tym tu – i wskazują na mego oberwańca – nie przejmować się, młody jeszcze i głupi.

Zagaduję takiego jednego typa, co idzie z naprzeciwka, z kimże to mianowicie, z jaką miejscową osobliwością, miałem do czynienia?

– Ach to Pan Ptysch i wnuk jego, Rapierek.

– Ten Rapierek to musi mieć coś z głową – Stukam się w wiadome miejsce wysokiego czoła – no cóż zdarza się w najlepszych rodzinach, smutna sprawa. Pewnie upadek jaki w dzieciństwie?

– Gdzież tam, zawsze taki był, od urodzenia – Tubylec prychnął oburzony – To znana w mieście persona, słynny cywilista, perła w koronie tutejszej palestry. – I odszedł, w siatce pobrzękiwały bosmany w puszcze.

Stoję jak ten bałwan po zimie na chodniku, a mewy – głupszy krewniak gołębi – pytują na moją głowę. Trzeba jak najszybciej spierdalać z tego miasta, choćby do Enerdówka, myślę sobie, ale żadnego kroku zrobić nie potrafię jakby jakiś czar przekłęty na mnie rzucono. Słońce zdawało się zachodzić na widnokrąg.

„Dziadek z fantazją”

[audycja Polskiego Radia w Szczecinie z marca 2003 roku]

Więc mówi pani, że właśnie skończyłem sto lat i pani chce, żebym słuchaczom poopowiadał o swoim życiu i czasach wokół mnie? No więc to pomyłka, bo ja mam więcej lat, a że urząd miejski tak twierdzi, to już jego sprawa. Niejeden urząd w życiu przeżyłem, i niejeden jeszcze przeżyję.

Czy widziałem kiedyś Marszałka zwanego też Dziadkiem? Nie tylko widziałem z daleka, a siedział przy stole jak i pani siedzi, wszystkie kratery po ospie miałem na widoku, ale powiem pani, że straszny to był huncwot i uparciuch. No jak to gdzie widziałem? Ano w Magdeburgu, kiedy negocjowaliśmy przysięgę kaiserowi, ale zaparł się jak muł i nic z tego nie wyszło. Wilhelm też głupi, bo trzeba było rozstrzelać od razu po śmierci Franza Josefa. I powiem pani, że jak w 26 zrobił zamach majowy, to od razu poleciałem do Paulka, by interweniował, bo to się źle skończy. I przyszedł potem ten austriacki kapral... No jak to, jakiego Paula? Hindenburga. Czego was teraz uczą w tych szkołach realnych?

Nie, nie mogę opowiedzieć jak nastąpiła niepodległość w Polsce, bo mnie wtedy w tutaj nie było, z bolszewikami walczyłem na wschodzie. Nie, nie w oddziałach Żeligowskiego, a we Freikorpsie. Oberlejtnant Rappier, taki miałem pseudonim i na koniach goniliśmy tych czerwonych aż do Pitra, a potem oni nas z powrotem do Królewca. Kulomioty terkotały, wie pani jaka była wtedy broń najstraszniejsza? Taczanka. Nie, nie tuczonka, a taczanka. Nie, nie jest to rodzaj zapchlonego tapczana, ale karabin maszynowy na wózku.

Że jak na Niemca, którego udaję, zakskujaco pięknie mówię po polsku? Proszę pani, trzeciego, a może nawet drugiego swego języka w życiu tak szybko się nie zapomina, zwłaszcza kiedy się było młodym. Kiedy się rodziłem, język polski był już mową dość rozpowszechnioną w Środkowej Europie, choć pamiętam z jakim szokiem przyjęto Kroniki Długoszowe. Połowę pozmyślał, w takiej bitwie pod Grunwaldem wszystko poplątał i nawet epistoły do niego pisałem, by poprawił, ale wcześniej się biskupowi zmarło. „Bogurodzica” to kilka wersów ma kompletnie pomyłone, co całkiem niedawno wyjaśniałem profesorowi Ligonowi, ale nie słuchał.

Skąd pani wie? Ano tak, jestem wielkim fanem Pogoni tutejszej. Marian Kielec, Marek Leśniak, całkiem niedawno Robert Dymkowski, cóż to były za napadziory! Weltklasse. Ale powiem pani, że teraz w juniorkach jest taki młody, Grosicki się nazywa, i to dopiero będzie szpiler. W ogóle Anglicy wcale nie wymyślili futbolu, osobiście nie chwaląc się ja. Nudziliśmy się straszliwie podczas oblężenia Konstantynopola, i z tej nudy kopaliśmy leżące nieopodal głowy. Tyle ich było na polach, co maków pod Monte Cassino, taka głowa, niewiernego lub muzułmanina wszystko jedno, gęby takie same, albowiem jednako gnije i śmierdzieć poczyna, gdy wprowadzają się robaki, krew i mózg brudzą wszystko wokół. To zapakowałem taką głowę w bukłak kozi, najlepsze wino w takowym trzeba

przechowywać, napchałem pergaminu i zaczęliśmy szpilać, znaczy się kopać. Tu dwa drzewka i już jest bramka.

Ja mi się żyje? Ano dobrze. Dom mam od stuleci spleciony, nie to co dzisiejsi młodzi ze swoimi mieszkankami, po takim długim życiu na emeryturę narzekać przecież nie mogą. Tylko wnuk mi hańbę przynosi i strapienie przysparza. Że bije? A niechby spróbował, rękę mam jeszcze ciężką! No, na ludzi chce wyjść i w tym roku kończy studia. Prawnicze. W naszym rodzie to tyle mieliśmy wspólnego z sądami, że mnie kilkakrotnie obwieszono na samotnym drzewie. Niech policzę, pod Batochem to raz, wcześniej w Mołdawii w 1597, no i pod Wiedniem.

No gdzież tam Piłsudskiemu do Sobieskiego. Bez porównania! Sobieski to był piękny mężczyzna, z tym swoim bandziochem ledwo ledwo pasem kontuszowym ściśnionym, w rajtuzach idealnie do kształtnych łydek dopasowanych, w futrze rysim narzuconym na półzbroję i w kapeluszu, z piórkiem pawim na wysokości pludrów. Miałem go nawet na muszce, ale się zlitowałem i garłacz tuż obok skierowałem i tylko się król-hetman wzdrygnął, tak blisko odłamki podleciały. Ale wściekły był wtedy na Karę Mustafę, bo nie dał mi janczarów oćwiczyć, a była to już wtedy jednostka zdemoralizowana i w polu ustępująca nawet Polakom. Co było do udowodnienia. Charczał okropnie na stryczku obok, taka kara.

No martwi mnie ten wnuś straszny, choć to nie jego wina, że taki niewydarzony. Matka jego, a córka moja jedyna, ukochana, się z Polakiem puściła, takim prawdziwym, nie kundlem jak ja, to geny jakieś takie inne, ichniejsze, słabsze. Nic dziwnego zresztą, bo już najmłodsza nie była, miała jakieś trzysta lat, no może dwieście pięćdziesiąt, to trochę desperacja... Uciekał taki jeden z Węgier po powstaniu i nocował u nas w zamku, i stało się, co się stać miało. Żenić się nawet miał, ale poszedł na służbę do Turka i jakoś szybko mu się umarło, przy tłumieniu buntu. Boehme się jakoś tak nazywał. Córka mi z tej rozpaczki uciekła do Stanów, aktorką potem została, czasem kartkę wyśle albo bilety na premierę w Los Angeles. Wnuk został na moim wychowaniu, bo małżonka się pogodzić do dziś nie może z rodzinnym mezaliansem – sama to solidna wołoska szlachta rodowa skoligacona z Bizancjum jeszcze – i jak z krypty wychodzi, to tylko na kilka godzin dwa razy do roku.

No pewnie, że sam sobie robię zakupy. Raz w miesiącu chodzę do szpitala miejskiego i znajomy palacz sprzedaje mi hemoglobinę. Teraz niedawno mi podłączono stałe łącze, to już widziałem w internecie promocje, ale trochę i strach. Bo skąd człowiek może wiedzieć, czy czysta tak krew i się człowiek nie zatruje po spożyciu?

Może mi tylko pani powiedzieć, kto jest teraz Dziekanem? Anonimów już kilka napisałem, bo mi się znowu ojciec śnić będzie z napomnieniami jak ten mój wnuk adwokatem albo prokuratorem zostanie? To brudne pieniądze są, absolutnie nie szanuję. To już lepiej zamtuż otworzyć albo płatnym mordercą zostać, nie na krzywdzie ludzkiej trzos sobie nabijać jak jakiś lisowczyk.

Ptych (von R.)

W późnym średniowieczu wiały już nowe wiatry, jednak faktem pozostawało i to, że większość społeczeństwa myślała się raz w tygodniu i to jedynie latem. Kiedy portugalska karawela, na długo przed Kolumbem, zdryfowała na terytorium dzisiejszej Brazylii, połowa załogi została wcześniej zjedzona, a druga połowa, ta żyjąca, cierpiała na szkorbut, skrofuły i skrupuły moralne. Podnieśli rękę na samego Pana Boga, swym czynem rozszerzyli mapy świata, uzurpując sobie tym samym prawa demiurgów i ponieśli za to okrutną karę, a ich potomkowie z plemienia Arawaków w komplecie wyginęli dwa pokolenia później na portugalskich plantacjach i w hiszpańskich kopalniach.

Kilka lat później papież z rodu Borgiów podzielił świat, portugalskie i hiszpańskie klasztory toczyły dysputy teologiczne, o uzurpacji praw Boskich poprzez kreację nowych łądów, a nieszczęsny polski szlachetka, przez potomnych znany jako Cristoforo Colombo trafił do lochów za to podniesienie ręki na Wolę y Majestat. Zmarł w biedzie i w opuszczeniu, uwolniony przez Inkwizycję, by jego śmierć nie spadła na sumienia dzielnych ojców i świeckich ich pomocników. Na tajnym soborze w Nancy biskupi ustalili, iż nawet jeśli Kolumb stworzył Amerykę, to uczynił to w dziele Bożym, dlatego spalenie jego szczątków było błędem. Myśl ta rozpoczęła reformację.

W starodawnym Konstantynopolu turecki sułtan śnił sny okrutne oraz prorocze, o dziwnych metalowych potworach płynących przez cieśninę po trójkolorową flagę i skacowany prosił o sorbet obsypany płatkami róż. Od waśni w haremie bolała go głowa, a eunuchowie już mu się dawno znudzili. Rządzenie wielkim imperium spadło na barki wielkiego wezyra, chytrego Serba o niebieskich oczach i farbowanych henną, Allachu Akbar, włosach. Ledwie co wczoraj wezyr poinformował go o uduszeniu kolejnego syna sułtańskiego, a on już nawet nie pamiętał z kim miał to dziecko i czy w ogóle je miał.

Dalej na północy królik skakał po puchatym śniegu, pozostawiając ślady małych łapek, a najpotężniejsze rody Litwy spiskowały w celu obalenia kolejnego lechickiego króla. Na Moskwę! – co bardziej zapalczywi krzyczeli płazowali szabelkami swych opornych krewniaków, którzy krzyczeli po polsku: Przecież my Rusini! Żydowscy kramarze chyłkiem obliczali, ile to znowu pożyczek przepadnie jak panowie będą wojować, a biedni chłopci na przypiecku wyczekiwali Wiosny.

Wszystko to jednak wydarzyło się później. W tym miejscu pragnę przypomnieć pewien absolutnie kluczowy fakt historyczny, który jednak całkowicie umyka najwybitniejszym nawet znawcom epoki. Nawet tak wnikliwy badacz jak Johan Huizinga w swym epokowym dziele nie napisał o nim ani słowa, a przecież sam tytuł książki predysponowałby go do napisania kilku słów o tzw. pierwszej przegrodzie Ptysia.

Przygoda owa całkowicie zmieniła zasadniczy stosunek sił politycznych na Półwyspie Bałkańskim i zaburzyła równowagę militarną w całej Europie. Na

kontynencie trwały gorączkowe narady, królowie i książęta posyłali umyślonych, tajni szpiedzy mlekiem pisali swe sprawozdania, używając do szyfrowania pierwszych, jeszcze drewnianych, komputerów. Geopolityka, głupcze – pisał Jan Długosz w swojej Kronice, niestety w kolejnych redakcjach passus ten usuwano, przez co sąsiedzi predatorzy mieli ułatwioną robotę.

Chronologicznie pierwszy epizod nowożytności miał jednak obiektywnie miejsce. Można wymazać go z ksiąg, ale nie sposób z rzeczywistości, co udowodnił Albert Einstein swoim słynnym wzorem $E=MC^2$. W tym miejscu pozostaje ubolewać nad hermetycznością nauk, ponieważ nikt dotychczas nie zauważył, iż genialny fizyk swą formułą niejako antycypował sukcesy społecznego polskiego rapu w XXI wieku, ale tak to jest, kiedy między humanistami, a tymi innymi naukowcami stawia się mur chiński. Który w opisywanym okresie nadal najeżdżały przeróżne hordy barbarzyńców, czasem w... żeniając się w chińskie księżniczki i tworząc nową dynastię.

Tak jak i inne okolice najeżdżali inni bohaterowie. I o tym chcę właśnie w tym miejscu napisać. Wydarzenie to, niby niepozorne, było jak muśnięcie skrzydeł motyla przez wir powietrzny wywołany przez spadek ciśnienia bąka wiosennej biedronki, co powoduje tsunami tysiące kilometrów dalej. Oto ta historia, zabralibyście się w końcu do jej czytania, zamiast zawracać mi głowę bzdurami.

Na szlakach błędnych rycerzy mityczny założyciel słynnego obecnie szczecińskiego rodu Ptysch herbu Dwie Skrzyżowane Nagie Baby z Mieczami Katowskimi z Czapką z Bobra, uchodził za niewiele mądrzejszego od swego konia, a ten jego wałach był najzłośliwszym, najbardziej leniwym i nieposłusznym bydlęciem w całej chrześcijańskiej Europie i gdyby Mongołowie znowu chcieli odwiedzić Karpaty z pewnością uciekliby na sam widok zwierzęcia i w popłochu wrócili do swych miast, zbudowanych z czaszek i kości wrogów w umiarkowanym klimacie Azji środkowej.

Plotki i opowieści o Ptyschu krążyły po całym kontynencie, strzępki tej wiedzy ruszały razem z monetą kruszcową na wschód, by po wiekach powrócić do cywilizacji Zachodu czy to w historii Sindbada Żeglarza czy to w tybetańskim micie o Yeti – tak to owłosiony był szanowny protoplasta, choć nie używał żadnych magicznych specyfików, poza nacieraniem się boczkiem przy każdej pełni księżyca – jednak z tego co było wiadomo zaczynał on swą karierę pod Grunwaldem, w wojskach posiłkowych najprawdopodobniej tatarskich; tam to tak obłupił się w krzyżackich taborach, że przyjął nową tożsamość germańskiego hrabiego, przez pierwsze dziesięć lat udając niemowę i burcząc jedynie jak niedźwiedź, aż tak nie miał zdolności do języków.

W następnych latach spotykamy Ptyscha podczas soboru w Konstancji, kiedy to szpiegował oficjalnie dla papieża, a tak naprawdę dla Turków seldżuckich; brał również udział w wojnach husyckich, w kluczowym momencie bitwy pod Lipanami podpalając sprzężone wozy wyznawców Kielicha. Największy swój sukces dyplomatyczny odniósł pod Warną, kiedy to absolutnym przypadkiem ściął głowę króla Władysława, choć Turcy już rejterowali z pola bitwy, a sztandary Zachodu

dumnie powiewały nad namiotem władcy Węgier.

Po tejże słynnej bitwie błąkał się Ptysch po całutkich Bałkanach, jako wróg numer jeden chrześcijan i pogardzany przez muzułmańskich zdobywców, wyrzucany z każdej kolejnej rozbójniczej bandy za przesadne pijaństwo i brak jakichkolwiek zasad moralnych – posuwał się aż do tego, by fałszować akty własności pobliskich kaszteli i wyzuwał wdowy z sierotami z ich własności – kiedy to postanowił zostać społecznym kuratorem pewnego szczególnie posepnego zamczyska w Transylwanii.

Powolny służący o imieniu Igor wielkim kołowrotem otworzył wierzeje i poprowadził Ptyscha do swej pani, a występny rycerz w duchu aż zatarł ręce z radości, tak niepozorna wydała mu się na pierwszy rzut – jakże błędny – pani całej posesji, choć miała piękne niebieskie oczy, to musiał przyznać i nie zwrócił nawet uwagi na kompletny brak murów obronnych gmaszyska, choć tu każdy chłopiek budował wieżę z kamienia z rzymskich ruin i ogłaszał się banem z nienawiści względem najbliższych krewniaków.

By nie przedłużać zbędnie tej nieciekawej historii o nudnym herosie – choć adekwatny byłby w tym miejscu cudzysłów, to z wrodzonej litości go nie użyjemy – zamierzchłych czasów, stwierdzimy tylko w tym miejscu, iż dziewczyna miała wszelkie prawo, stanowione i zwyczajowe, w najmniejszym ze swych ślicznych paluszków, tak więc roszczenia Ptyschowe zwyczajnie wyśmiała, tak że ten się musiał upić, bo następnego dnia obudził się w krypcie, z potwornie bolącą głową, dwiema małymi rankami na karku i do tego jeszcze w trumnie, szczęśliwie na pół odsłoniętej.

Z dziedzińca niósł się radośnie głos gospodyni i szczęśliwe szczekanie, tak wyostrzyły mu się zmysły że rozpoznał po zapachu, małego białego pieska, a on leżał w porządnej dębowej skrzyni na istnym posłaniu z własnych włosów, wszystkie przez noc wypadły, wierny Igor już stał obok z kwaterką świńskiej krwi i szczerząc równy rząd 48 zębów oficjalnie przywitał go w rodowym zamku Batorych i z miejsca przeprosił za nocne ekscesy pradziadka panienki, który – jak to Igor starał się wyjaśnić – miewał niezdrowe ciągoty względem gości.

Albowiem jak rozmnażają się wampiry? Nauka, a wcześniej religia, a przedtem znowuż nauka, od wieków próbują odpowiedzieć na to pytanie, jednak nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Dywagował już o tym sam wielki Platon, a pierwsi Ojcowie Kościoła rozważali różnicę między wampirami zrodzonymi z kobiety (po odbyciu naturalnego stosunku erotycznego) i takimi, które powstały z ukąszenia. W obu wypadkach kluczowy pozostawał problem duszy, a sam Św. Katabalas z Nikomedii poświęcił 20 lat dociekań oraz modlitewnej medytacji na opisanie paradoksu ochrzczonego wampira.

W tym miejscu musimy zaznaczyć, iż termin „wampir” jest późniejszy i absolutnie nie należy sobie wyobrażać w tej roli amerykańskich aktorów z badziwiastych seriali dla ogłupiałych licealistów, a starcie dwóch wielkich duchowych sił, tak poważanych przez gnostyków, w tym chrześcijańskich, mianowicie: dobra ze złem, ciemności ze światłem, Boga Najwyższego z Demiurgiem Drugiego Stopnia. W tym ujęciu „wampir” jest najlepszym

dopełnieniem teorii pola walki, ponieważ to w nim najpełniej ścierają się diabelska drapieżność z boską nadzieją. Partyzancka wojna rozdziera stopniowo ciało nosiciela.

Co ciekawe, możliwości istnienia wampirów nie przeczy także współczesna nauka. Podczas laboratoryjnego wdrażania koncepcji hoopshypa, w obecności samego Premiera Rzeczypospolitej, odkryto istnienie nowych mikro cząsteczek elementarnych, których spiny są tak niezmiernie [tkd>hgj<B!#HS gdzie...] , iż ułożone razem mogą stanowić źródło napędu ponadkosmicznego i każdorazowo ciągną w okolice Szczecina.

W którym to prapolskim mieście wodolotami znużeni mieszkańcy każdego poranka znużenie podążają do pracy u bauera w pobliskim nieprawdziwym Rajchu, ze swojska zwanym DeDeErem, a nad Umęczoną wstaje kolejny słoneczny, choć śnieżysty dzień, podczas którego jedynie uwłaszczona nomenklatura, matki z 500+ oraz wariaci mogą czuć się szczęśliwi, kiedy miejscowi Tutsi i Hutu ostrzą swe motyki na krzemieniach kupowanych u chińskich obwoźnych handlarzy badziewiem w cenie trzech sztuk za jedną.

Robot kuchenny

– Čmelaku, Čmielaczku, jak ja ciebie Kocham. Co za piękny prezent na Walentynki! – W olęderskim apartamencie ze schodami grozy rozległ się dyskretny dźwięk buziaków, otwierania proscenzio i obierania mandarynek.

Čmelak, jak to Čmelak, był wybitnie zadziwiony, bo niczego nie kupował ostatnio i tak po prawdzie całkowicie zapomniał o najważniejszym święcie w roku, ale jak to mawiają doświadczeni urzędnicy państwowi: darowanej kopercie nie należy patrzeć w znaczki i nie otwierać przy świadkach, dlatego postanowił powściągnąć zadumę i spędzić wieczór jak najmilej się da. Zapowiadało się bynajmniej znakomicie.

Pudło z prezentem przez noc leżało na balkonie i tylko światełko routera w zapalało się cyklicznie.

Čmelak straszliwie klął następnego dnia po powrocie z pracy, bo prezent był zapakowany nie tylko w pudło, ale i w folię bąbelkową i otajpowany trzema rodzajami taśmy. To jeszcze nie koniec, bo pod tym całym tałatajstwem znajdowała się solidna pomalowana na czarno skrzynia, a kiedy ją w końcu udało się Čmielakowi otworzyć – łomem, choć już rozmyślał o użyciu przecinaka do metalu albo wręcz butli z gazem, narzędzi wykorzystywanych w pobocznym handlu używanymi rowerami – zgniły fetorek aż go odrzucił, a ze skrzyni wyciekły mechaniczne myszki. Chyba mechaniczne, bo nie miał ich jak wyłapać, tak szybko zniknęły na nabrzeżu. Cholerne gadzety reklamowe, pomyślał Čmielaczek.

Zabezpieczony ochronną warstwą gleby w skrzyni leżał, ni mniej, ni więcej, Robot Kuchenny R.2018, jak donosił w instrukcji, także w języku polskim, chiński producent „Najdoskonalszy z drugiej linii naszych robotów użytkowych”.

Nie był najpiękniejszy to sprzęt AGD na świecie, trzeba to uczciwie przyznać, ale okazał się wielkim wybawieniem w codziennym utrzymywaniu porządku. Może i azjatyccy projektanci nazbyt starali się upodobnić go człowiekowi, przez co z korpusu wyrastała niezbyt urodziwa łysa kula i to z dwoma przesadnie spiczastymi uszami, a sztuczne kończyny pozostawały kruche i niezbyt kształtne, jednak sprzątał, gotował i odkurzał na czwórkę z plusem. Czasem podnosił kanapę z Asią w sobotnie poranki, kiedy polerował podłogi tak, że nawet po chuchnięciu nie było najmniejszego śladu.

Nie trzeba go było w ogóle ładować. Noce spędzał w komóдке obiecanej niegdyś w ramach stypendium pewnemu utalentowanemu pisarzowi, jednak ten grzdyl i huncwot jak dotychczas nie pofatygował się skorzystać z tej oferty.

Pierwsze coś podejrzewać zaczęły miejscowe koty. W ostatnich dniach

drastycznie zmniejszyła się populacja mew, a jak wiadomo olęderskie mewy i olęderskie koty pozostają w wiecznej wojnie o tutejsze śledzie. I właśnie one, wielkie, zielone i pyszne z sosem olęderskim, poczęły w przerażającym tempie znikać z sieci rybaków. Tak jakby jakiś nieznany drapieżnik, groźniejszy ekonomicznie od foki i orki razem wziętych, je wykradał, pozostawiając ślady przedziwnej białej mazi, która na pewno nie była majonezem. Może śmietaną?

Kolejny zniknął chorwacki zbieracz makulatury, który kilka tygodni wcześniej wywiózł na wózku karton do skupu. Ten sam w którym R.2018 przybył do Olandii. Karton nie tylko zawierał pieczętki urzędu celnego w Banacie, ale również portu w Szczecinie oraz magazynu w Amsterdamie. Południowy Słowianin najpierw kaszlał i skarżył się na bóle gardła, schudł w pięć dni o cztery kilogramy, a następnie nie pojawił się w swoim ulubionym lokalu z kuchnią etniczną i egzotyczną „U Juhasa”. Jakby rozpułnął się w powietrzu.

Na kartonie, zanim go przemielono w papierni, pisało „Najgorsza rzecz jaka nadeszła ze Wschodu”.

Od czasu, kiedy nowy robot kuchenny pojawił się w mieszkaniu, Asię dręczyły koszmary. Śnił się jej dworzec pekaesu w nieznanym jej osobiście mieście, ale jak najbardziej polskim i to nie współczesnym, ale jakoś tak dwie dekady wcześniej. Pani w budce z zapiekankami wyraźnie miała chętkę na bladego młodziana z kitką blond włosów, po peronach snuli się żebracy i cwaniacy w mokasynach ze sztucznej skóry i z choinką, ale największą uwagę zwracał smutny mężczyzna z trumną. Którą próbował upchać do bagażnika autosanu, a wąsaty kierowca coś wykrzykiwał i groźnie gestykułował.

W tym miejscu sen się urywał i Asia szła do kuchni napić się zimnej wody. Każdorazowo musiała zamknąć drzwi na balkon, choć była pewna, że to zrobiła wcześniej. Kilka razy wydawało się jej, że R.2018 pochylał się na nią, śpiącą.

Pewnego popołudnia wypila kilka dzbanków yerba mate z guaraną w zaprzyjaźnionej kawiarence, z mocnym postanowieniem niezaśnięcia w nocy. Čmielak chrapał więc jak to zwykle on, a ona nieruchomo czekała, przykryta ciepłą kołderką przyslaną notabene z USA przez mamusię Čmielakową. R.18 rzeczywiście się pojawił i błądy jak śmierć próbował wyprawiać jakieś brewerie w okolicy szyi, jednak jakby jakaś straszliwa siła mu to uniemożliwiła

– Oleńka nie pozwala – R.2018 wyszeptał na wpół rozczarowany, na wpół szczęśliwy i nagle zaczął jeszcze bardziej przypominać człowieka, choć – musimy w tym miejscu przypomnieć – niezwykle brzydkiego.

Asia już wiedziała co robić.

W sobotę, w samo południe, kiedy Čmielak pojechał po choinkę – nie zdołała wymyślić lepszego pretekstu, ale jej umiłowanie iglaków było tak olbrzymie, że dzielny chłop ani nie mrugnął – a wczesnowiosenne słońce wesoło przypiekało, Asia

rozwalila kuchenny taborecik, chwycila mocno jedna nogę i podeszła do komódki. Otworzyła drzwi i z całej siły się zamachnęła.

Nie dała rady. Potwór, teraz, kiedy maski opadły, w pełni swej straszliwej urody, błyskawicznie powstrzymał atak i zaśmiał się opętańczo, a raczej próbował, bo złapała go czkawka.

– Musimy poważnie porozmawiać, moja droga – Powiedział R.2018, a może już zwyczajnie R.?, do dziewczyny i wyciągnął faktury. – Tu masz rachunki do zapłacenia, kochana, nie myślałaś chyba, że pracowałem za darmo? I nie próbuj nawet pisać do Dziekana, mam go w małej... – Nikt nigdy nie dowie się w czym miał Dziekana R., ponieważ osławiony ten krwio pijca nie zauważył, iż w drugiej ręce Asia trzymała malutki srebrny krzyżyk, który właśnie spopielał serce niezwykle męczącego osobnika.

W tym miejscu kończy się więc epepeja R. z niezwykle solidnego rodu i już nigdy więcej nie zostanie wspomniany na kartach tej historii.

Pozegnajmy go minutą ciszy.

Żartowałem.

Fiesta, moi kochani. Każdy wyciąga co tylko może do picia!

Second life

Kiedy śliczne olęderskie miasteczka spokojnie jeszcze śpią i do wschodu słońca daleko, wyklęte ludy Europy od kilku godzin ciężko harują objeżdżając wystawki według harmonogramu uzyskanego od przekupnego urzędnika niższego szczebla, Dennisa Overmarsa van Hooijdonka of Heselinka, byłego piłkarza klasy reprezentacyjnej, który po zakończeniu kariery zszedł, jak to mawiają, na złą drogę: rozpił się, zbrzydł i utył, i wybierają co zdalniejsze urządzenia AGD oraz meble, by przedłużyć im życie na wschodnich rubieżach kontynentu. Szafki narożne sprzed dwudziestu lat, telewizory sprzed dekady, rozkładane kałcze czyste jak w dniu zakupu, bo na Zachodzie ludzie się nie pocą, nie brudzą ani nie kopulują, dzieciaczki sprowadzając z Surinamu albo Arabii i wychowując je tak bezstresowo, że nic się nigdy nie zakrwawi w czasie wprowadzania dyscypliny fizycznej oraz duchowej.

Całe to dobro wielkimi tirami jedzie olęderskimi, niemieckimi, austriackimi autostradami, byle dalej od miejsca pierwszego zakupu, byle dalej od szczęśliwych chwil rodzinnych bezpiecznego Zachodu, by ostatecznie trafić do szarych bloków, liszajowatych domów jednorodzinnych i obskurnych lepianek Wschodu. Każdy etap tego łańcucha jest kontrolowany przez rodowe klany i jawne mafie, a najgroźniejszą sławą w świecie second handu cieszy się organizacja, której legalnym odłamem jest skromna firma transportowa VlaD Trans (co jest skrótem od VlaDracula Transylwania i nie należy jej mylić z działającą na podobnym rynku względnie uczciwą firmą słowacką).

I to właśnie TIR teje firmy stał pod śmietnikiem w spokojnym miasteczku ...,

a młody polski kierowca Jerzy Warzycha, którego w ostatniej chwili wysłano na zastępstwo – doświadczonego Florina Hagiego dopadł atak wyrostka robaczkowego i trafił do szpitala w rodzinnej Konstancy – nerwowo palił białoruskie papierosy, czekając aż zostanie rozmieszczony ładunek. Zabroniono mu zaglądać do chłodni, plik papierów i pozwoleń był w porządku. Ale i tak się martwił. Kiedy w końcu odjechał, zadziwiła go lekkość naczepy, tak jakby wiozł same powietrze. Dociągnął do parkingu pod Monachium, a tam, zgodnie z instrukcją, przykleił kluczyki za trzecim kołem po lewej stronie i poszedł złapać stop, najlepiej od razu do Katowic. Nigdy więcej podobnych fuch na boku, zaczniesz jeździć autobusami dla ZTM. Ostatnio nawet dają darmowe robocze garnitury, to jest życie! Dopił włoskie wino Gianfranco Baggio, a karton wyrzucił na pobocze.

Na naczepie wyborowy zespół lekarzy oraz pielęgniarek utrzymywał w stanie śmierci klinicznej przewożony ładunek. Najnowocześniejsze maszyny pikały, robiły bzziiuuuuuuu przetaczając krew i zastępując tak niezbędne do życia organy jak mózg, serce, a przede wszystkim wątrobę. R., najmłodsza latorośl osławionego, wywodzącego swą genealogię od średniowiecznego zbója Ptryscha, rodu von R. wracał do domu jak należy.

W trumnie.

2019

- Witaj, Rapiierku. Jak spałeś?
- Źle.
- A jak tam samopoczucie, kochaniutki?
- Źle.
- Zawsze jesteś tak marudny jak się obudzisz?
- Chamstwo.

Wikary westchnął i zapalił nocną lampkę. Oświetliła obskurną piwnicę byłej plebanii byłej cerkwi, którą to Wikary od prawie piętnastu lat nielegalnie zamieszkiwał. Brudnoszara szmata skrywała pudło w kształcie trumny, jedyny – obok wysłużonej wersalki – mebel w pomieszczeniu. Wikary sięgnął po leżący na skrzyni gruby tom w twardej oprawie i oddał się lekturze.

Cierpliwie przewracał kolejne strony. Książka miała swoją wagę. Tysiąc stron to nie przelewki, można nadwerężyć sobie nie tylko mózg, ale i – zwłaszcza – kręgosłup. „Dobre, ale *Zgred* to to bynajmniej nie jest” pomyślał Wikary, który w dawnych, dobrych czasach bywał częstym bohaterem opowiadań Nowakowskiego, a dziś taki Pablopavo na niego nawet nie spojrzy. Odrzucił antypolską powieść aktualnej noblistki na skrzynię, z której natychmiast wypłynęły podejrzane dźwięki.

- Kurwa, ale ze mnie zjeb.
- Co Cię znowu boli, Rapierciu?
- Dupa, hehehe.

Wikary westchnął z politowania i otworzył niewielkie, zakurzone okienko tuż pod sufitem. Zimne powietrze wypełniło celę na równi ze światłem rozbijającym się o zaborcze kraty, oświetlając nie tylko najprawdziwszą trumnę opisaną germańską czcionką pełną wikińskich rogów w kroju, ale i szkielet w najdalszych z rogów. Kości wysypywały się z habitu.

- Cześć Wodeham.

Rzucił trzeciemu mieszkańcowi, na szczęście milczącemu, nory i zabrał się za robienie herbaty.

- Napijesz się herbaty, Rapierciu?
- Już prędzej possam różę Rurzy niż wypiję Twoją herbatę.
- Jak chcesz.

Okopcony czajnik wolno się nagrzewał na prymitywnym piecyku. Wzrok Wikarego padł na kalendarz z 88 roku, z cycatą Niemką wyznania protestanckiego, bo katoliczki się nigdy nie rozbierają. Przynajmniej nie przed naszym bohaterem. Jakoś zawsze powoływały się na swoją wiarę i pochodzenie klasowe w sytuacjach

nieuchronnie zmierzających ku intymności. Cichutko gwizdnął przez zęby. To był ten dzień.

- Rapienze...
- Co wycierusie?
- Masz może nowy numer do Zeliga?
- Który to Zelig?
- A, nieważne.
- Serio nie poznaję, z twarzy od małego podobny do nikogo. Typowy Polak.
- Wiesz jaki dziś mamy dzień?
- No jaki?
- Chyba nie zapomniałeś?

W głosie Wikarego dało się słyszeć autentyczny smutek.

- Ale jak przyjdzie Oficer, to się nie odzywaj.
- Skasuję typa.
- Ech.

„Kiedy jechałem dziś autobusem, głośno zwróciłem uwagę młodej studentce, by nie czytała publicznie Stasiuka, bo on bierze niemieckie pieniądze za swoje książki i szkaluje Polskę prawdą o Polakach i pół autobusu klaskało, a drugie pół natychmiast chciało się ze mną żenić.”

Wikary był w trakcie relacjonowania swego, jak zawsze niezwykle interesującego, dnia na popularnym portalu społecznościowym, kiedy pojawił się zapowiadziany rankiem gość. Ubrany głównie w czarny płaszcz przeciwdeszczowy, kapelusz i dwie butelki wyborowej rozsiadł się na – przewidująco przyniesionym przez siebie – krześle.

- Musisz, Przemysławie Marianie. Mamy już nawet piosenkę. Braci.
- Nie dam rady.
- Głupsi od ciebie dali.
- No właśnie, głupsi.
- Aż tak głupsi to nie.
- Zlustrują mi rodzinę do trzeciego pokolenia wstecz.
- Jaką rodzinę?
- No, rodzinę...
- Grzegorz na razie prosi. Nie zmuszaj go do wyciągnięcia sztucznej szczęki.
- Nie dam rady.
- Polska musi mieć uznanego prezydenta, bo inaczej...

Nikt nigdy nie dowie się, co się wydarzy inaczej, ponieważ na twarz Wikarego poleciała ciecz będąca oczywiście krwią oraz kawałki białej mazi będące oczywiście, jeszcze przed chwilą, mózgiem rozmówcy. Za jego plecami stał triumfalnie uśmiechający się łysy zakapior.

– Mówiłem, że skasuję?

Wikary starannie uklepał ziemię szpadlem i na wszelki wypadek pomodlił się za duszę zmarłego. Jutro, jak zwykle, zrobi wylewkę, a potem wygładzi i nikt nie pozna. Dopił herbatę, przebrał się w piżamę i zapalił nocną lampkę. Sięgnął po leżący na skrzyni gruby tom w twardej oprawie i oddał się lekturze.

Cierpliwie przewracał kolejne strony. Książka miała swoją wagę. Tysiąc stron to nie przelewki, można nadwerężyć sobie nie tylko mózg, ale i – zwłaszcza – kręgosłup. „Dobre, ale *Zgred* to to bynajmniej nie jest” pomyślał Wikary, który w dawnych, dobrych czasach bywał częstym bohaterem opowiadań Nowakowskiego, a dziś taki Pablopavo na niego nawet nie spojrzy. Odrzucił antypolską powieść aktualnej noblistki na skrzynię, z której natychmiast wypłynęły podejrzane dźwięki.

– Nie był to zły dzień, musisz przyznać Rapierciu.

– Pierdolenie.

– Miałem dziś urodziny, wiesz?

– ... zapomniałem... ale ze mnie zjeb...

Będzie seks? Niewykluczone. Opuśćmy więc w tym miejscu naszych bohaterów. Dobrej nocy. Śpijcie spokojnie, aniołki.

Traktat o kopaniu dołów

Miło pana widzieć, już myślałem, że zgubił pan drogę.

Zwłaszcza teraz zimą nietrudno się zagubić po tych wertepach, zwłaszcza taką zimą jak obecne, kiedy więcej deszczu niż śniegu i leśne trakty rozkopane, i nawet gajowemu się nie chce wyłazić spod pierzyny, kiedy tak leży z leśniczą, leśniczką, no panią leśną, a leśniczy w tym czasie sprzedaje drewno grubasom z domów jednorodzinnych całymi dniami i żadna transakcja bez kieliszka wódki obejść się nie może, wraca więc pan na włościach w mundurze rozchełstany państwowym i szczęśliwy, że żona jednak śpi, cichuteńko przelicza setki.

Tu w ogóle sporo ludzi się gubi, przyjeżdżają i się dziwią, że to jeszcze nie morze, a Odra, „tylko Odra, zapłaciliśmy jak za Niemcy Grecję” furkają pod nosem, bo skąd mogą wiedzieć, ilu ludzi ta Odra wykarmiła, mimo zabrudzeń i świństw zbieranych od samego Raciborza, gdzie tamtejsi mieszkańcy pierwsi spuszczają wodę do Odry, czyniąc z tej jakże ważnej rzeki granicznej szambo, kloakę, co nam się w pełni objawiło jakoś wtedy, gdy Enerdowo stało się z powrotem Niemcami i rzeka ta oddzielała teraz Zachód od Wschodu.

Nosiło się z tej strony papierosy głównie, jak człowiek był silny, ja jak pan widzi bynajmniej do ułomnych nie należę, to dwie trzy ruskie torby w kratę, w drugą stronę czego tylko dusza zapragnie, co bagażnik rowerowy utrzyma, czego strażnicy graniczni nie przyuwają, bo zaraz by podpierdolili, przepraszam pana najmocniej, zabrali, wpierdol spuszczając, choć czasem to nawet i tego nie, nie chciało się im ręki podnosić i marnować, puszczała jedynie pusto i człowiek się cieszył, jeśli kilka marek matce w butach uratował.

Stały wtedy jeszcze tu barki, cumowały, co to dawniej z węglem kursowały od Gliwic do Świny ujścia, jeszcze ich Balcerowicz nie sprywatyzował, ich załogi to jeden z drugim to większy bumelant, czy jak to się wtedy mówiło, ptak niebieski był, i ci to dopiero mieli pomysły i wyobraźnię, wszystko byli w stanie na drugą stronę przerzucić: słonia, wędkę a nawet i spirytus trzy razy w obie strony, tak że na końcu nikt nie wiedział czyje to było, gdzie wyprodukowane i ile właściwie kosztowało.

Nie, tego czołgu na własne oczy nie widziałem, ale mogło tak być, bo ile się człowiek dołów za młodu nakopał, to nie do wiary, jak pierwszy raz taki zobaczyłem, to myślałem, że to kłusownik zastawił, by dzika, łosia czy inkszego żubra pochytać, z miasta jestem, to na zwierzynie łownej za bardzo się nie znam, bydlę to po prostu bydlę, byle smakowało do Bosmana, to i kot może być – raz kebaba takiego w Płocku kupiłem, co potem się okazało, że... smaczny był, ale mnie wyśmiano, że auta tam będziemy chować, zanim woda nie opadnie – to latem – albo rzeka zamarźnie – to zimą – by do Polski przerzucić nie w częściach, niby to się załatwiało na legalne papiery prawie zawsze, Polak Niemiec dwa bratanki, i do wvózki i do celnej bramki, kapitalizm panie pełną gębą, ubezpieczyciel trochę mniej, ale nie zawsze, czasem trzeba było legalnie takiego merca albo audi ukraść, bo minister taki śmiaki miał

zapotrzebowanie, kochance zaimponować musiał, a to już nie były czasy ciupciana za rajtki, zaczęły się cenić słowiańskie krasawice; nie mówmy o tym więcej.

Że chciałby pan obejrzeć taki dół i jak to wyglądało?

Nie ma sprawy, pomalutku, już biorę szpadek i przejdziemy się do łąk, tam trochę dalej, i ziemia lepsza, i z żadnej chałupy nikt niczego nie przyuważy, z góry mówię, że to nie będzie dół automobilowy, nie mam teraz zapotrzebowania, tylko ten drugi, nie różnią aż tak się w kwestii kopania, tylko jeden jest, jakby to ująć?, bardziej horyzontalny, dwa metry długi i najlepiej przynajmniej dwa w głąb, szerokość nieszczególna, no chyba, że by się trafił grubas taki jak pan, to można trochę szerzej, spróbujmy, ale tu głównie chodzi o to by zwierzyna nie wyniuchała i by na wiosnę tragedii nie było, po cóż to dodawać roboty naszej dzielnej policji, prokuraturze, najgorsi to pismacy, ci to jak zwęszą sensację, to... przecież nie miałem pana na myśli, absolutnie, proszę się nie obrażać.

Tak, ten worek co pan niósł, to soda kaustyczna, proszę teraz połowę rozsypać, prawda że piękną noc mamy, niby pełnia, ale za chmurami, mało co widać i nie, nie boję się, że zdradziłem panu zbyt wiele, i że mógłby to pan wykorzystać kiedyś w przyszłości, bo przecież ludzie muszą sobie ufać, zresztą zabezpieczyłem się dodatkowo...

Čmelák, Čmeláčku gdzie jesteś?

Wyłaźże zza tych drzew, że zimno towiem, że czekałeś, ale długo szliśmy, pan pisarz był kurwa ciamajda i ciągle zadyszkę łapał jak tylko miał skrócić w lewo albo prawo i patrzajta, co nieboraka spotkało, syp resztę worka, potem ziemia i dej liści, będzie kurwa pisarczyk jeden marudzić, że źle wymyśliłem myk z zasypywaniem, to kurwa usprawiłem, rozwiązanie systemowe dałem i co teraz?, z tego co wiem martwym nobla, kurwa, nie dają.

I dobrze tak, i chuj.

Nic do powiedzenia

Wiosna tego roku nadeszła wcześniej, bo jakoś tak na początku lutego. Życie unosiło się w powietrzu, młode pnącza przedzierały się z podziemnych otchłani na powierzchnię. Rodzice z małymi dziećmi urządzali spacerunki dla poratowania zdrowia zniszczonego smogiem i zawieruchą polityczną w kraju. Wszystko kiełkowało i szczebiotało w ciepłych promieniach zimnego słońca.

Dwoje dzieciaków, ubranych zdecydowanie przesadnie w grube kurtki i zimowe czapki, odpowiednio z Batmanem i tym pieskiem-dziewczynką z tego serialu, przywazyło coś w pobliskim zagajniku i odbiegło od rodziców, którzy choć chwilę mogli побыć ze sobą sam na sam. Nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Chłopczyk stał bezpiecznie dwa metry z tyłu, daleko od znaleziska, ale dziewczynka patykiem, bezzwłocznie znalezionym i wypróbowanym, poczęła eksplorować glebę wokół czegoś podobnego do mrowiska, choć znacznie mniej estetycznego. W rozgarniętej ziemi bystre oczęta dzieci odkrywały coraz to nowsze cuda: stopa wystająca spod mchu, ucho wyrastające pomiędzy przyłasczkami, grzywka na skraju trawnika. A nie, chwila, jaka grzywka? To tylko wiecheć zeszłorocznej trzciny przykleił się do wyszczerzonej ponuro czaszki. Ten cokolwiek ekstrawagancki gatunek budzącego się życia jęknął okrutnie i bardzo już teraz podekscytowane potomstwo podbiegło do pary najbliższych przodków w drzewie genealogicznym:

- Mamo, tato znaleźliśmy jakiegoś pana. Tam, pod drzewem.
- To brzoza dziecko.
- Aha. Słyszałaś Emilko, to ta słynna brzoza. – Chłopak wyraźnie podekscytowany tłumaczył coś młodszej siostrze.
- Absolutnie nie dotykajcie. Może być zarażony.
- Czego? – Wydarł się R. i począł otrzępywać z ziemi. Pomorskiej. – Jaki dziś dzień?
- Niedziela! – Wykrzyknął większy ze szkrabów.
- Handlowa?
- Nie. – Ojciec rodziny w końcu stanął na wysokości zadania.
- Kur... – Chciał zakląć odkopany łysielec, ale się zreflektował – Kur... czaczki, znowu trzeba będzie drałować po piwo na Orlen. Cholerni płocczanie...

Trylogia plocka

Osiedle bogów

Oto zwyczajne przedmieścia wielkiego polskiego miasta. Szeregi bliźniaków stłoczone między drogą krajową a oczyszczalnią ścieków. Cudem wykrojone miejsca parkingowe. Całość ogrodzona rozchwianym murkiem z prefabrykatów. Rachityczne drzewka walczące o przetrwanie pośród chwastów, agencji Żabki i chodników położonych niefachowo z kostki bauma z niderlandzkiej dotacji.

Młode małżeństwa z dziećmi i rozwodnicy w średnim wieku, mieszkający razem, dopóki nie spłacą kredytu we frankach. Czterdziestoletni specjaliści bez widoków na awans. Dwumetrowy trawnik każdej wiosny siany od nowa i do późnej jesieni koszony każdej soboty co do milimetra. Czujniki na podczerwień zwiastujące niechcianych gości z pobliskich komunałek. Interwencje straży miejskiej. Funkcjonariusze państwowi kłaniający się w pas spauperyzowanej elicie owianego naftowym dymem miasta Płocka.

Takie to jest tło naszej opowieści. Rozpoczyna się ona pewnego zimowego dnia. Dziwny to był rok, w którym to różne termometry wskazywały, że globalne ocieplenie, czy to spowodowane przez człowieka, czy nie, jest faktem absolutnie autentycznym. Nawet egipskie bociany nie chciały ostatniej jesieni wracać do domu i ich klekot roznosił się nad równinami Mazowsza niczym nagrany na taśmę śpiew muezina.

Jakby dla równowagi, natura nie znosi próżni, poczęły znikać ptaki najzwyczajniejsze: wróble, kosy i gołębie. Później w okolicy zaroilo się od gryzoni. Zdawały się uciekać od od lokalu 27/A. Jego właściciele znajdowali się na wakacjach. „We Palestynie”, szeptali lepiej poinformowani sąsiedzi, „nie wiadomo czy wrócą”, dodawali inni, „on mi zawsze wyglądał na...”, zawieszali głos, „no pan wie... mahometanina.”

I tylko Arnold miał odwagę zaglądać w okna segmentu państwa M. Kopytka odbijały się od betonu, kiedy stary satyr sukcesywnie ogryzał rośliny posadzone zeszłego przez niezwykle elegancką Panią M. „Co ona w nim widzi?”, dziwowali się sąsiedzi na zebraniach lokatorów i także my nie jesteśmy w stanie rozwikłać tej zagadki. Arnold roztań trzonowcami kolejną wiązkę zeszłorocznej trawy, jego wielkie oczy zrobiły się jeszcze większe, zameczał i uciekł na łąkę.

Może było to spowodowane zmianą ciśnienia w pomieszczeniu, ale w salonie państwa M. na moment uchyliła się zasłona i uważny obserwator mógłby zauważyć złożony wózek inwalidzki, czarną trumnę ponadnaturalnych rozmiarów oraz żółte oczyska czarnego kota wygodnie rozłożonego na wieku tego tak niespodziewanego w tym miejscu arcydzieła sztuki stolarskiej. Bawił się on, albo ona, czarno-białą żalobną fotografią. Rozdarte kawałki zdawały się składać w umęczoną twarz mężczyzny bez powodzenia próbującego ułożyć usta w uśmiech.

Trumna w salonie

Słynny filozof, którego nazwiska w tej chwili nie pomnę, z pewnością niemiecki, bo tylko oni są skłonni do snucia równie głupich dywagacji na chwilę przed odbezpieczeniem mauzera, przeprowadził niegdyś eksperyment z pudełkiem i kotem. Wyszło mu, że kot albo jest w pudełku albo go nie ma, no chyba, że byłby kotem kwantowym. Albo martwym. Wtedy byłby na pewno kotem pojęciowym, ale czy byłby kotem wystarczająco żywym, by nadal być kotem?

Wszystkie te myśli kłębiły się w głowie Marcina, prowincjonalnego jurysty, który właśnie zakończył urlop w pewnym spokojnym egzotycznym kraju i już był pewien, że popełnił niewiarygodny błąd wracając do kraju, i jeszcze, naiwniak, klaskał, kiedy samolot szczęśliwie wylądował. „Trzeba było poprosić o azyl polityczny w Autonomii”, mruknął do siebie i Koty, która – wściekła na tydzień opuszczenia – próbowała odgryźć mu kawałek stopy. „To musi być całkiem spokojne miejsce do życia. Zwłaszcza dla miłośnika technologii raketowych”. Marcin w młodości zakupił kilka modeli do składania i nawdychał się znacznie więcej kleju, co wyjaśniało część spraw i komplikowało większość innych.

Małżonka nadal brała kąpiel, ale Marcin wiedział, że ma naprawdę mało czasu. Musiał coś zrobić z tajemniczym meblem na środku jednego z trzech pokoi nadal niespłaconego mieszkania, szumnie, acz na wyrost, nazywanego apartamentem. Mebel zadziwiająco przypominał trumnę, i to taką z bardziej eleganckich. Miała ona, zakładając że rzeczywiście była to ona, nawet specjalny dzwonek na wszelki wypadek. W rogu odprysnął czarny lakier, ukazując różowy podkład. Ponadto zdołał ją napis „Nie wszystkim umarlim”, co dość drastycznie ograniczyło możliwość zakamuflowania trumny jako fortepianu. Trochę żałował, bo by pokazał tym K. spod dwójki, co to na każdej popijawie chwałą się pianinem po wujku Padarewskiego, spalonym w 44 gdzieś na Wschodzie. Wujku, nie pianinie, bo te stoi aktualnie w pokoju córki. „Fortepian Szopina”, warknąłby tym łajzom przy wódeczce, „ten co to spadł. Na bruk. Rozumiecie?”.

Gdzie są feministki, kiedy trzeba znieść trumnę do ogródka? – taką informację zamieścił na pewnym portalu społecznościowym i zebrał multum lajków. Oraz gratulacji za pierwszy udany dowcip od jakichś pięciu lat. *Dobry żart, taka mać*, napisał w odpowiedzi; chwilę rozważał skasowanie obecnego konta i przejście na wersję premium.

Dół był od dawna wykopany. Pod garaż. No cóż, będzie musiał swego białego opła nadal trzymać pod gołym niebem. Ale pozbędzie się tego...czegoś. Wydawało mu się, że słyszy jakieś dźwięki z wewnątrz, mimo że specjalnie zdemontował dzwonek, by nie hałasować na schodach. „Co ten jetlag robi z człowiekiem...” – Westchnął, kilka razy walnął pięścią w wieko, i podgłosił audiobooka. *365 dni* to najlepsza rzecz jaką czytał od dawna.

” Co właściwie czyni kota kotem?”, zastanawiał się Marcin ubijając ziemię szpadlem. Miał nadzieję, że do wiosny nic nie wylezie. Potem obsieje się specjalną brytyjską mieszanką i za dwieście lat trawnik będzie jak z gazetki reklamowej Obi czy innego Leroy Merlin. Ten Merlin to musiał być niezły kutas, bo nie dość, że Anglię założył, to jeszcze sieć sklepów. Ale imię miał głupie, matka musiała się „czegoś w ciąży przestraszyć albo co?” myślał spokojny już Marcin, podając małżonce ręcznik.

Uziemionymi łapskami.

Dłonie

Problemy zawsze zaczynają się od brudnych rąk.

Marcin, zdawałoby się, prowadził zwyczajne życie. Jak przed urlopem. Opalenizna stopniowo blakła, sterty dokumentów na biurku rosły w postępie na szczęście arytmetycznym, nie geometrycznym, szef kancelarii czasem wzywał go do siebie na naradę. Częstoował się portugalskim koniakiem, a szef w tym czasie skubał pestki słonecznika i śpiewał zachrypłym głosem brazylijskie pieśni o piratach i trudach niewolnictwa.

Tak spokojnie upływał dzień za dniem i świat powoli, lecz nieustępliwie zmierzał ku wiosnie, kolejnym świętom i długiemu majowemu weekendowi.

A jednak Marcin czuł niepokój. Zaczęło się od tego, że ile by szorował swoje wielkie męskie dłonie, jakiego mydła by nie użył i ilu antygrzybiczych preparatów nie kupił, ciągle czuł ten zapach. Zgniłej ziemi. Zafundował sobie nawet manicure, zwyczajnie zadzwonił do specjalistki i umówił wizytę domową, mając w nosie, co sobie pomyślą sąsiedzi na widok efektownej trzydziestolatki dzwoniącej do drzwi bliźniaka.

Choć wiedział, że za paznokciami nie ma ani ziarenka ziemi, żadne się nie mogło uchować po tylu ablucjach, zdawało mu się że każdy dokument przechodzi tym zapachem, każdy banknot staje się naznaczony jak środki płatnicze w budżecie CBA i każdy, po prostu każdy, kto dysponuje choć przeciętnym węchem to odkryje. Do krwi szorował palce i pieniądze, a jednak nie zniknęło to absurdatne poczucie, mające jak najbardziej praktyczne konsekwencje, bo poprzez ten lęk zaważył trzy kolejne sprawy. Wystarczyłaby niegruba koperta i wyroki byłyby zupełnie inne.

Tacka z białą kielbasą i karczkiem w specjalnej zalewie przypiekała się na grillu, małżonka kroїła cukinię, cebulę oraz bakłażan, kiedy podjął decyzję. I choć była to pierwsza w tym roku orgia na działce i Teielte właśnie rozstawiał cały swój sprzęt, Marcin wsiadł do swego białego opla i rzucając przez uchylone okno „Muszę wyskoczyć na stację po papierosy” w te pędy pojechał do domu.

Ręce miał całe w ziemi, nikt kto by go widział w tej chwili, nie mógłby temu zaprzeczyć. Szpadel leżał na trawniku. Marcin ostrożnie odbił wieko trumny. Wstrzymał oddech. Nic się nie wydarzyło, skrzynia była pusta. Po prostu pusta. Zasypał dół i umył ręce. Oby nie spiekli za bardzo kielbasek, taka była jego główna

myśl, kiedy ponownie mknął drogą krajową numer...

I tylko wprawne oko obiektywnego narratora dostrzegło okropne rysy na nieheblowanym drewnie wnętrza czarnej jak dusza masowego mordercy trumny. Jakby wyżłobiły ją pazury jakiegoś straszliwego potwora z bajek lub licencjonowanej bestii piekielnej. Miejmy nadzieję, że tym razem nie uwolniło się nic szczególnie szkodliwego. Smok? Demon? Tygrys ludojad? Wszystko, byleby nie kolejny niedouczony absolwent słabego wydziału prawa, stworzony wyłącznie po to, by nadal psuć rynek prawniczy swymi usługami.

Pewnie kopanie leżącego

Pewnego zimowego wieczoru mieszkańcy pewnego poniemieckiego miasta w pewnym środkowoeuropejskim państwie z pewnymi ambicjami mieli okazję zobaczyć wielkiego łysego zakapiora spacerowym krokiem zmierzającego ku resztkom prasłowiańskiej/pogermańskiej puszczy. Albo boru. Zdania w tym względzie pozostają bowiem podzielone.

Pewnym pozostaje, że nie podgwizdywał radośnie, prawdopodobnie nie czuł się w nastroju, a może zwyczajnie nie umiał/potrafił gwizdać? W bliższym planie, jakby w okularze enerdowskiej lornetki Zeissa w jugosłowiańskim filmie wojennym, nie prezentował się już tak okazale/dostojnie. Głowa niechlujnie ogolona, zarost nieokreślonego koloru na pół gęby, a i to, co z daleko wyglądało jak mięśnie wyrzeźbione ciężką harową na placu budowy/w pobliskim gymie, okazało się nadmiarem wieloletniego tłuszczu na kośćcu chudzielca. Fizjonomią najbardziej kojarzył się z kompletnie, ale tak całkowicie, nieudanym psychopatą.

Pewnym chwytem niósł szpadel/łopatę.

Pewnie miał jakąś mapę/plan, a może kierował się sobie tylko znanymi wskazówkami, bo w pewnym momencie zaczął kopać pośrodku niczego. Ziemia nie była zanadto zmrożona, takiej zimy najstarsi autochtoni nie pamiętali, a pamiętali wiele, choćby Fuhrera na ścianie w każdym urzędzie, spoglądał na dzieci wyrozumiale/groźnie, robota szła szparko, a dół z każdym ruchem kopiącego się pogłębiał. Pewnie natrafił na kamień, bo w pewnej chwili zaklął szpetnie:

– Urwa mać, te ludowe zwyczaje. – I po chwili wielki głaz został wyturlany na górę, a nasz bohater/antyheros, zasapany i ogólnie zmęczony, ryknął ze złości:

– No wyłaż ciućmoku jodyn!

Pewnie usłyszał coś podejrzanego, bo ponownie zeskoczył/apdł do dołu. Jakies szmery albo coś takiego? Dość szybko wychynął z powrotem, polerując o kurtkę coś srebrzystego. Ugryzł.

– Praskie grosze, prawdziwie srebrne. Na coś się te legendy w życiu przydają.
– Mruczał do siebie jakoś nerwowo i schował pieniądze do kieszeni spodni/dżinsów. Wydarł się ponownie – R. wilka w tej jamie złapiesz. I nie myśl sobie, ostatni raz inhalowałem. Następnym razem sam sobie radź. Ile razy mogę cie wyciągać z tarapatów?!

Pewnikiem było to złudzenie optyczne/umysłowe wywołane światłami pobliskiej autostrady, ale cień Pisasza zdawał się rosnać i rosnać. Aż wyglądał jak góra/demiurg z baśni o siedmiu kopalniach i ostatnim sprawiedliwym górniku.

K O N I E C

